

Kraków
04-06-2005
DZ. / Nr 129

Kulturałki: Pierwsze Prawo Kulturałek

Myśl o urlopie nastraja mnie miło do świata. No – nie całego, bo trudno, bym nagle stał się fanem pani E.P. panów J.S. czy pana M.G. Zaczepił mnie ostatnio listownie w tej sprawie Pan Kajetan S., pohukując na mnie z lekka (jako wierny czytelnik czuje się do tego uprawniony), że stale się czepiam tych samych osób. ...jeszcze się Pan stanie, nie daj Bóg, kolejnym Lepperem albo Giertychem z ich obsesjami – pisze mi Pan Kajetan. A wszystko dlatego, że przed tygodniem, ciesząc się z debiutu poetyckiego mojego sąsiada Andrzeja Mleccki; sąsiada z tej kolumny tylko, co i tak zaszczyt, bo naprawdę to on sąsiaduje na ul. Grodzkiej ze znakomitym scenografem Ryszardem Melliwą, a więc – wracam do wątku właściwego i do listu – *nawet przy okazji nowej książki Mleccki robi sobie Pan kpiny z dyrektora Starego Teatru*. Niestety, to nie ja sobie robię... Ja serio podkreślałem urodę *Opery mleczańskiej*, która wg Mleccki w tymże teatrze została wystawiona. I dalej będę jej bronił. Jak każdego spektaklu, z którego wyjdę z radością z tego teatru. Ale okazji wiele nie mam. Właśnie się wybierałem na premierę *Auto da fe* w reżyserii Pawła Miśkiewicza, a tu odwołana. Na trzy dni przed premierą. To już kolejny, po Krystianie Lupie, inscenizator tej sceny lubi opóźniać spotkania z widzami. Widać mają ci twórcy coś wspólnego.

Aleś zabrnął w tych dygresjach (bo przecież, nie daj Bóg, nie obsesjach, Panie Kajetanie Drogi); wracam owóz do głównego wątku – że miło, że urlop (swoją drogą, zdążyć zobaczyć to *Auto da fe* przed wakacjami, jak zapowiada teatr w Internecie?). A może udać się na urlop ze spektaklem *Aj waj!*, *czyli historie z cynamonem* w pamięci, co go Rafał Kmity w Teatrze STU wystawił. Przez sto minut bawiłem się w wypełnionej szczerze sali STU podawanym z wdziękiem humorem – sytuacyjnym, słownym, muzycznym; raz jeszcze Tadeusz Kwinta pokazał swą klasę, raz jeszcze Andrzej Róg dowiódł swego talentu i edukacyjnej siły Studia Aktorskiego, jakie kiedyś działało przy STU, raz jeszcze Sonia Bohosiewicz potwierdziła, że nie przypadkowo tak świetnie wypadła, grając blisko sześć lat temu obok Anny Polony, swej pani profesor z PWST, w *Twórcach obrazów*. Dobrze, że ma tego Kmity... A on – pokazał literacki smak, poczucie humoru i fenomenalną zdolność, jak na człowieka, który wyszedł z kabaretu, przystało, puentowania scen. Niektóre puenty aż giną – przykryte zwielokrotnionym śmiechem; a tu po trzeciej i czwartej rozrzutnie dopisał autor i reżyser zarazem. Reżyser, który poprowadził spektakl w znakomitym rytmie, na „zakładkę”, bez zbędnych pauz. Bez modnych szarż. Zachwycił się już spektaklem Kmity Paweł Głowacki, ale on musiał o swoim Marguezie napomknąć (on ma chole-
ra, lepsze, obsesje...), zatem już mu się nie napisało o muzyce, jaką ofiarował Kmity do spektaklu Bolesław Rawski. Kompozytor od lat tworzący w Krakowie, a zarazem pozostający w cieniu innych. Wielkich. Nie wiem, jak Mistrz Zygmunt Konieczny odebrał te muzyczne frazy, ja byłem wielce ukontentowany (Głowacki też, a nie napisał.) Nie wiem, bo bodaj nikt wie, czy będą w tym roku ogłoszone nominacje do statuetek Ludwika – w kategorii muzyka byłby Rawski jednym z pewnych kandydatów!

A najlepszym sprawdzianem, że to znakomity spektakl, bynajmniej nie jest śródowy felieton Pawła G. Ale to, co wyluszczyła na łamach „Gazety Wyborczej” p. Joanna Targoń – że... Mniejsza o to. Wystarczy zdanie ostatnie; nie puenta – od puent to jest Rafał Kmity. A oto ono: *Spektakl Kmity można spokojnie pokazywać jako turystyczną atrakcję w jednej z knajpek przy Szerokiej, na przemian z występami klezmerów*. Wcześniej autorka też wspomina *kazimierskie knajpki*, zatem być może lubi, może się zna. Na pewno zaś jest tak – i to proszę potraktować jako Pierwsze Prawo Kulturałek, które brzmi: *Spektakl, na który wybrzydza Joanna Targoń, jest bezwzględnie spektaklem, który zobaczyć należy*.

Że jeśli chwali, iść nie warto, nie piszę, bo przecież nie po to się ma Czytelników, by obrażać ich inteligencję

WACŁAW KRUPIŃSKI